

JAN ŁYSEK

ŚPIĄCY RYCERZE

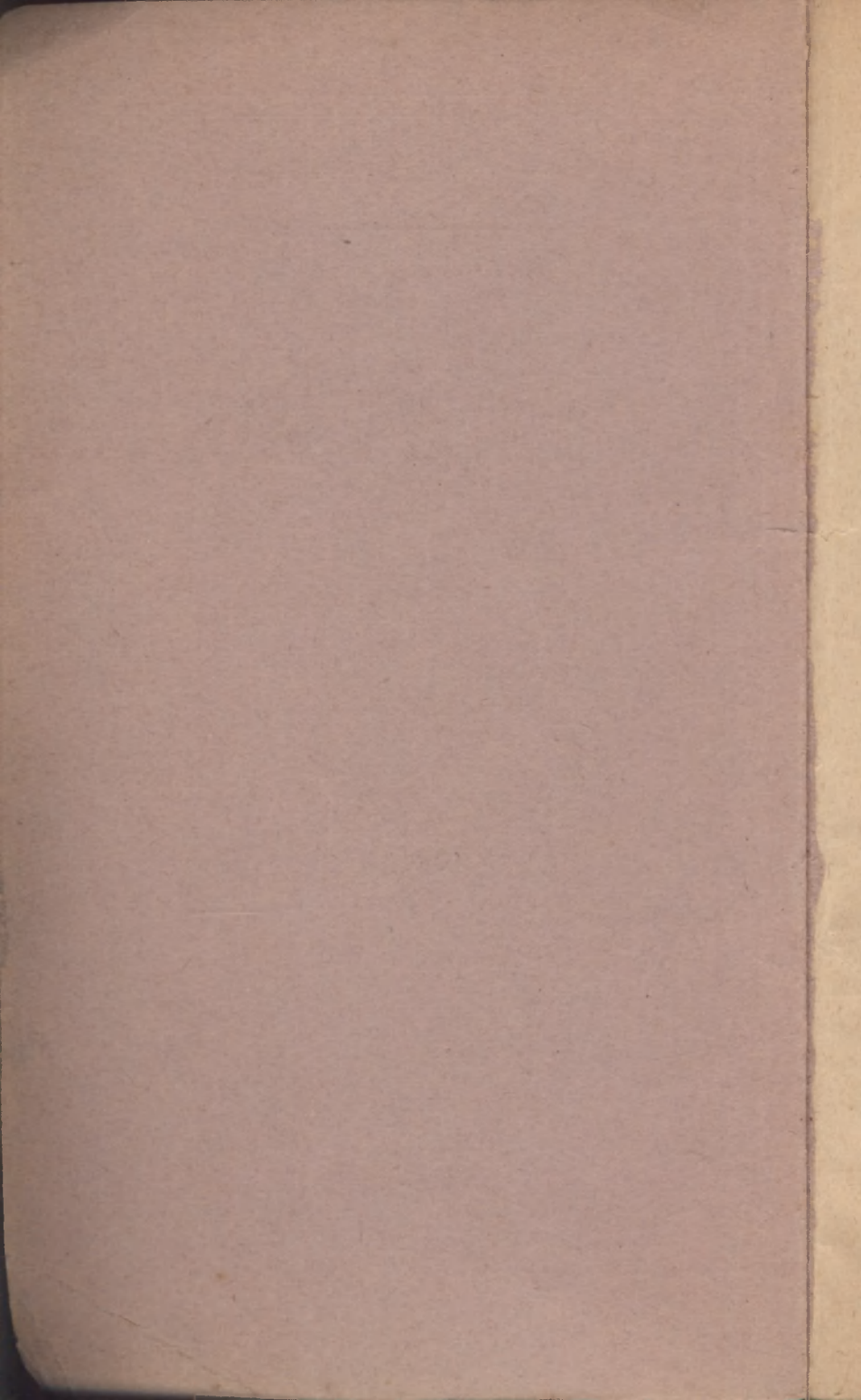
MUZYKA JERZEGO HADYNY



CIESZYN

NAKŁADEM W. WOJNARA W CIESZYNIE

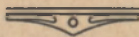
1929.



JAN ŁYSEK

ŚPIĄCY RYCERZE

MUZYKA JERZEGO HADYNY



CIESZYN

NAKŁADEM W. WOJNARA W CIESZYNIE

1929.



KD II 2136

KD 2136

Odbito czcionkami
drukarni
PAWŁA MITRĘGI
w Cieszyńcu.

D 197/02
10,00

W S T Ę P.

Dla ludzi, którzy dzisiaj obserwują Śląsk, nie jest on niczem innym, jak miejscem, „gdzie walka wre“.

Nie jest już dla nich do odtworzenia dawny urok śląskich pól z nad brzegów Olzy i Wisły, nie do pojęcia piękność Beskid, gdy w cichą noc gwiazdzistą — zdawały się być „snem ziemi“; — nie do odczucia przeszłość, w której na górach pasły się „kyrdele“, a bacza grał na trąbie i palił watry, by straszyć wilki, gdy na dolinach pieśń dziewczęcia „szła rosą od gaju do gaju“, gdy pod strzechę zeszła się gromada gazdów z fajkami w ustach i zaczynała epos o czynach zbójów, o duchach, co „kajsi“ po lasach chichocą, o „piniądzach“, co się w nocy wydostają na wierzch i świecą zielonawem światłem...

Wszystko to gdzieś przepadło, utonęło.

„Zginęła na zawsze melodia skrzypek lipowych“...

Przygłuszył ją stuk maszyn, ciężkie sapanie spracowanych motorów i także ten zamęt nieubłaganej walki, która się na ziemi śląskiej rozpętała.

A jednak. Pełne mamy uszy wrzawy, a mimo to chętniej je nadstawiamy, gdy skądś doleci nas melodia którejś z ostatnich piosnek naszych ojców.

Trosk mamy bez liku, ale-zapominamy o nich, gdy któryś „z ostatnich“ pocznie nam malować świat siły pierwotnej, kiedy „chłop, jak szel, to sie

nie czuł“, a gdy mu przyszło walczyć, to się nie cofnął, tylko szedł przebojem.

Urządzamy wieczorki i przedstawienia amatorskie, by śpiewać, grać, bawić siebie i lud, podawać ludowi piękno, uczyć go cenić przeszłość i kulturę swojską, bronić przed naleciałościami kultury obcej.

Cóż tu może posłużyć jako najlepszy środek?

Mojem zdaniem — wskrzeszona z popiołów, owa dawna, prosta poezya ludowa, — oczyszczona i ożywiona ideałami dni dzisiejszych.

Sztuczka „Śpiący rycerze“ pod tym względem jest próbą. Nie ma ona najmniejszych pretensyi do posiadania „prawdziwej wartości literackiej“, — natomiast chce przemawiać do ludu zrozumiale i chce przynieść sprawie polskiego ludu na Śląsku pożytek.

JAWORZE, 2 lutego 1914.

ŁYSEK.

OSOBY:

JÓZEF MOTYKA: Młodzieniec, później zbójnik.

JAN, młodzieniec, później gospodarz.

JUREK, syn Jana.

HANKA, dziewczę wiejskie, później żona Jana.

SMOLARZ.

INŻYNIER.

LEŚNICZY.

GAJOWY.

HAWLA, komendant jęgrów.

POETA.

NIEZNAJOMY.

DUDZIARZ I SKRZYPEK.

Chłopi, zbójnicy, jęgry.

Uwagi: 1) C. k. Śląskie Prezydium krajowe pozwoliło na odegranie niniejszej sztuki. (6 lutego 1914. Pr. 20/37).

Wobec tego nie potrzeba już egzemplarza wysłać do władz. Wystarczy tylko powołać się na datę i liczbę przytoczoną w nawiasie.

2) Wykonanie „Śpiących Rycerzy“ może być dwojakie:
a) Z muzyką, w formie opery klasycznej, lub też,
b) z ograniczeniem części muzycznej do odśpiewania tych piosnek, które autor w dramacie umieścił.

Wydania sztuki w formie wyciągu fortepianowego, lub partycyi orkiestralnej jak również umieszczenia na końcu sztuki melodii piosnek — musiano z rozmaitych względów zaniechać.

Całej partytury, nut na orkiestrę i melodii piosnek na żądanie dostarczy podpisany.

Jerzy Hadyna.

W Bystrzycy, dnia 3 maja 1914.

Wydanie niniejsze jest niezmienionym przedrukiem z r. 1914 z okazji sprowadzenia zwłok autora, ś. p. por. Łyska z frontu rosyjskiego do Cieszyna w 15 rocznicę wymarszu Legionu śląskiego na plac boju.

W Cieszynie, dnia 20 października 1929.

AKT I.

Scena przedstawia mały kawałek wyrąbanego lasu. Krajami stoją jeszcze niezwalone drzewa, środek natomiast przedstawia jedno rumowisko powalonych pni, gałęzi i choiny.

U prawej strony rzną piłą Józek i Jan. Józek młody, prześliczny młodzieniec, z oczyma wpatrującymi się w dal głęboką. Jan, cokolwiek starszy od Józefa, przystojny, przeciętny młodzieniec. Obaj ubrani w starodawne śląskie stroje ludowe.

Zachód słońca. Pomiedzy szpary przerębiska przedziera się zorza niebieska. O tej porze, jak każdy dzień, ze wszystkich sałaszy idzie muzyka trąb owczarskich, żegnająca dzień.

Za podniesieniem kurtyny obaj młodzieńcy, rznąc piłą, rozpoczynają pieśń.

JÓZEK: (śpiewa).

Buku mój! Buku mój! Co tak smutno szumisz?

Czy ty ludzką mowę słyszysz i rozumiesz?

JAN: (śpiewa).

Gałązkami chwiejesz ku wodom jeziora,

listeczki otrząsasZ każdego wieczora.

OBAJ: (śpiewają).

Huczą grzmoty, huczają... Ty się tego boisz?

Czemu tak struchlały przy tej wodzie stoisz?

(Jan staje i prostuje strudzone kości. Józek chwilkę wpatruje się w to miejsce, gdzie piła rznie, potem i on wstaje i kładzie kapelusZ z jastrzębiem piórem na głowę.)

JÓZEK: (mówi).

Janku! Widzi mi się prawie,
że my ostatni maliny zrywali
w tym lesie. Na Oszniawie
jakeśmy owce pasali...
Pamiętasz? Grywali
tu pastuchy, owczarze na flecie,
pachołcy z dziewczkami schodzili się w lecie...

JAN:

Stare czasy, — Józef! — Dobrze baczym.
Zbierałeś maliny, dziś rębaczem
przychodzisz drzeć korzenie z ziemi...

JÓZEK:

Tak się to — widzisz, — czas odmieni.

JAN:

Hej odmieni, odmieni...

JÓZEK:

Ale teraz coś tu się zbudzić musi z dawnych
[czasów,
wszak tyle spało tu krasnych juhasów,
tyle tu dziewcząt, postrojonych w wianku
pod krzem maliny przepłakało lata
za juhasami, co poszli w kraj świata
z piórkiem jastrzębia na białym „kłobuczku“.
Niejeden potem zawisł był na buczku.

JAN: (Wspomniawszy coś, śpiewa).

Co tam jest, co tam jest na zielonej regli?
W nocy mie szuhaje na regle odbiegli.
Chycili zbójniczka, chycili za „ruczku“,
Teraz go wieszają na zielonym buczku.
Hohej na buczku!..

JÓZEK: (który przez ten czas wpatruje się w rumowisko pni i gałęzi).

Wiesz, kochany Janku,
patrzę właśnie dookoła
na zwalonych kupe drzew.

Ktoś stąd płacze, lka, coś woła,
 przejmujący idzie śpiew...
 Wnetbym z piersi wydarł serce
 I cisnął w ten gruz.
 Ktoś w ostatniej poniewierce,
 splakana jakaś dusza,
 ściśnięta przez mróz,
 siepie się, woła, rusza...
 Zarazbym skrzypce moje brał
 i chwytalbym ten płacz,
 płakałbym razem, śpiewał, grał...

JAN:

Bo ciebie trzeba znać.
 Zwyczajnie — każdy muzyka:
 Co mu się żywnie uwidzi,
 za tem się do śmierci smyka,
 a nawetby duszę dał.
 Co sobie zaś w oczach zbrzydzi,
 daruj mu, — nie będzie brał.
 Co ty tu widzisz? Zwyczajna polanka,
 gdzie wczoraj jeszcze był las nieprzebyty.
 To rąbiesz drzewo od bożego ranka,
 a potem wieczór wzrok masz w pniska wryty,
 jakoby tego dokonały czary.
 Praca prawie skończona. Ciesz się stary!
 Jak to zobaczą chłopci, będą radzi,
 że prawie tutaj, gdzie ścieżka prowadzi
 taka ukryta, aż się o niej nie śni
 nikomu z jęgrów, miejsce to wybrane.
 Tu mogą huczeć głośno nasze pieśni,
 huczeć noc całą. Tu mogą być grane
 te wszystkie pieśni, które grzmia najgłośniej
 chłopską boleścią.

(Znowu z szałasą poza lasem, hen z dalekiej
 hali, rozbrzmiewa pieśń sałaskiej trąby. Na ten głos
 Józek bierze swoje skrzypce, zrobione z gonta

i smyczek łukowy. Gra tę samą melodyę. Śpiewają obaj.)

OBAJ:

Jawory, jawory, na Kralowej Holi!
 Siekierą was rąbią, czy was to nie boli?
 Jawory, jawory, rzezają was piłą!
 Któż tu zapłacze, nad waszą mogiłą?
 Zaśpiewa tu zbójnik na zbójnicki dudzie.
 Ej! — jako wam było, tak i jemu „budzie“.

(Pieśni tej słucha ukryty za stojącym drzewem Nieznajomy. Ubrany w gunię białą, jak śnieg i nogawice również białe. Brzegi guni bramowane czerwoną włóczką i u góry ozdobione wyszywanymi ząbkami. Również „nogawice“ wyszywane czerwoną włóczką, biegnąca bokiem od pasa w dół ku stopom. Na głowie kapelusz bardzo szeroki, („szyrak“) biały, otoczony wiankiem dzikich kwiatów i paproci. Twarz chuda, broda długa, biała. Oczy przenikliwe. Cała postać prosta, piękna, chociaż stara. W ręku kij złoty. Słucha pieśni z uśmiechem zadowolenia.)

NIEZNAJOMY: (do siebie).

Stójcie! Słuchajcie o wasale leśni,
 westchnień serdecznych kochanki mej, pieśni!
 Koło nóg moich, koło tego kija
 ramiona swoje owija,
 czepia się podartych chust,
 i sięga ustami moich ust.
 Przyszłaś kochanko? Witaj! Spojrz mi w oczy.
 Już nocna ciemność skrzydła swe roztoczy...
 Zostaniesz ze mną. Dłoń twoja ochłodzi
 spalone skronie Starca — Króla — Ducha...

(Do Józka i Jana):

Śpiewajcie dalej! Dalej grajcie młodzi!
 Każde stworzenie pieśni waszej słucha,
 każde stworzenie jej echem nasiąka,

każde stworzenie dycha nią i pije,
jak krople deszczu wysuszona łąka...
Królestwo moje w pieśni tylko żyje.

JAN:

Ktoście są stary?
Ktoś niesamowity.
Oczy wam groźnie z pod czoła błyskają,
tak, jako piorun, zagnała rozpowity
z pomiędzy czarnych chmur...

JÓZEK:

A maja

wasze spojrzenia moc nie z tego świata.
Choć ja to wszystko widzę i trochę się boję,
przecie w was widzę nie wroga, lecz brata.
A chcecie pieśni, to wam zaśpiewamy.
Siadajcie tylko. Są pnie, skały, tramy,
siadajcie stary.

(Nieznajomy siada. Znowu z innego sąlasza
idzie głos fujary. Józek chwyta skrzypce i gra do
wtóru. Obaj śpiewają.)

OBAJ:

Ej! już nas nie cieszy radosne śpiewanie,
ej, bo oplakane nasze gazdowanie.
Ej! już nie pójdziemy toporeshków zębić...

JAN: (przerywa gwałtownie).

Tak nas zaczęły wielkie pany gnębić,
ziemie zabierać ledwie co zasiane,
lasy odbierać, statek spędzać z hali,
mierzyć miedzami!...

Długośmy czekali.

już nie będziemy. Dzisiaj o północy
wszystka się siła chłopstwa zbierze na tem
miejscu

na wiec... na wiec gromadzki...

NIEZNAJOMY: (zdziwiony).

Słucham tej wieści tak smutnej, a rzewnej...

Więc tu sąsiedzi zejdą się dziś razem

w to oto miejsce, któreście żelazem
 ogołocili z jego krasy drzewnej?
 Słucham tej wieści tak smutnej, a rzewnej.
 Słucham tej wieści, lecz mówię Wam szczerze,
 że w moc tych wieców ja teraz nie wierzę.
 Siedźcie wy raczej doma! A ogniska
 domowego strzeżcie, by nie zgasło.
 Moja w tem głowa. Oto chwila bliska,
 w której ja wydam wielkie, grzmiące hasło,
 a wtedy, jak z martwych podniosą się głowy
 śpiącego wojska. Wielka moc powstanie
 z roli i ze skał. A ów zastęp nowy
 obroni ziemi. Moja już w tem głowa.
 Wielka — powiadam — siła kiedyś wskrzesinie,
 lecz dzisiaj na to jeszcze jest zawcześnie.
 Siedźcie więc raczej doma, a ogniska
 domowego strzeżcie, by nie zgasło.

JÓZEK:

Ja już te słowa słyszałem gdzieś...
 Ktoś już nam kazał... Ale
 — mój starcze! — choć szeroka wieś
 i długa; choć żyją stuletni górale,
 nie znajdziesz we wsi ni jednego człeka,
 któryby pojął, jak to strzec ogniska,
 jaka to chwila idzie, chociaż zwleka,
 daleka ona jeszcze, czy też bliska...

JAN:

A ktoście Stary, co to jakieś hasło
 wydacie? Jakie hasło?... Komu?
 Skądęście? Gdzie dom wasz?...

NIEZNAJOMY:

O! domu mojego szukaj tam, gdzie rosną
 najstarsze wiekiem jawory i dęby.
 Liściem się kryją z budzącą się wiosną
 zamku mojego legendarne zręby...
 Siadaj na rogi dzikiego jelenia,

pytaj się orła w obłokach i cienia
 każdego, co błądzi po lesie...
 Pójdiesz za głosem puszczyka, co woła
 wróżby okrutne; pukanie dzieciola
 jeśli posłyszysz, to idź za niem
 i patrz! Co widzisz, — a masz bystre oko, —
 wszystko odwiecznem jest mojem mieszkaniem.
 Każda roślina, nisko, czy wysoko
 rosnąca, każde zwierzę, ptaszę
 skrzydlate, krzyształowy kamień,
 każda pieśń, wszystkie dzieje wasze,
 wszystkie dzieje straszydeł, nocnic i omamień,
 to są mieszkania mojego ozdoby.
 To słupy złote, co je podpierają.
 Tysiące roków fantazyja ludu
 rodziła mnie, zdobiła moje zamki,
 pene dziś krasy słonecznej i brudu.
 Byłem ja z nimi. gdy zgoda, gdy waśń
 rządziła.. Jestem: Stara Baśń.

(Widać, że słowa jego mijają, nie czyniąc
 głębszego wrażenia. Obaj zdają się pojmovać je
 powierzchownie, lecz z odcieniem rosnącej cieka-
 wości przypatrują się Nieznajomemu.)

Idźcie do domu! A strzeżcie ogniska,
 by nie zagasło. Oto chwila bliska,
 co wielki płomień w chatach się rozpali
 i wstanie wojsko. Będziecie czekali,
 ja do was przyjdę. A do tego czasu
 ja będę bronił roli, łąki, lasu.
 Nie rozumiecie, co ja do was gadam?
 No! przyjdzie czas! Przyjdzie! Ja powiadam.

(Wstaje i odchodzi. Pozostają obaj ciągle je-
 szcze zdziwieni.)

JAN:

Słyszałeś? Wojsko! Ja nic nie rozumiem.

JÓZEK:

Słowa powtórzyć, to ja jeszcze umiem:
„Na wiece“ — mówi — „dziś jeszcze zawczasie.
Śpi wielkie wojsko... Dopiero, gdy wskrześnie“.

JAN:

Wojsko! Skądże się to bierze?
Gdzie — nie powiadał — śpią owi rycerze?

JÓZEK:

Tego nie mówił, nie powiadał, ale
ja myślę — Janku — że to w jakiejś skale,
dokoła której lata wraży wiatr,
gdzieś hen daleko, pod turniami Tatr.

(Wtem z lasu odzywa się śliczny, dziewczęcy
głos, zbliżający się samotnie.)

HANKA: (śpiewa poza sceną.)

Róża w lesie rosła przy zielonej jedli.
Chłopcy ją wyrwali: — Sto buczków by zjedli!
Po coś ich różyczko do lasu wabiła?
Jeszczebyś se rosę dziesięć roków piła.
Ej! dy jak się róża na dobrze rozwinie,
musi chłopców zwabić; — żadnej to nie minie...
Jak idzie różyczce na szesnasty roczek...

(Naraz parobków spostrzeże. Piosnkę urwie.
Jak na zbrodniczym czynie złapana, zawstydzi się
okrutnie. Postawi dwojaki. Dziewczyna z niej śred-
niego wzrostu o twarzy rumianej, pięknej, tryska-
jącej zdrowiem. Cała postać, w dawny ludowy strój
ubrana, — gibka i pięknie ułożona.)

HANKA:

Przynoszę ze wsi wieczerzę...

JAN: (Chwyta ją za ramię.)

Czemuś śpiewać przestała
tak naraz. Powiedz szczerze?
Czemuś oczy w dłonie skryła?

HANKA:

Ech! bom się was zestraszyla!
Przyniosłam ze wsi jadło.

JÓZEK: (Naśladuje umyślnie nieudolnie jej pieśń.)
„Sto buczków by zjadło!

Chłopcy urwali białą różę w lesie“...

Jakóż to była ta pieśń, coś śpiewała?

HANKA:

A! leć za wiatrem! Całą nutę niesie
gdzieś tam, w głęboki, wiekuisty bór.

A ja już nie wiem, nie pamiętam.

JAN:

Słyszę te echa. Skoroś zapomniała,
to Ci przypomnieć mogę. Czybyś chciała?

HANKA: (Odwracając się z wyrazem niechęci od
Jana.)

O! to zaś Józek piękne pióro nosi!

Gdzie to z niem pójdiesz?

JÓZEK: (z uśmiechem.) Kraść.

HANKA: A co?

JÓZEK: Urodę róży.

(Przez ten czas Jan uprzęta gruz. Powoli, pracując, oddala się w las, poza drzewa.)

HANKA: (smutno.) Której róży?

JÓZEK: (Obejmuje Hankę w pasie.) Tej!

(pośpiewuje.)

Pójdę ja jutro w góry! Hej!

Za góry na hale pójdę owce paść.

(Znowu na najbliższym sałaszu owczarz trąbi.

Józek i Hanka, złączeni uściskiem, odwrócą się
w stronę sałasza i wtórują pieśnią:)

JÓZEK i HANKA: (śpiewają):

Szumi dolina, szumi groń!

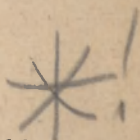
Juhasie owce w szopy chroń!

Ej chroń se w szopki pod „bukem“,
porachuj „wszecki kłobukem“...

Szumi dolina, szumi groń!

W doliny dudni siwy koń.

Ej dudni, dudni! — a kopie



prosto w „dolinym ku szopie“.
 Szumi dolina, szumi groń!
 Pistoolec juhas chwycił w dłoń...
 bo przy freierce śpi gdosì...
 Wichr huczy... Cicho... Deszcz rosi...

JAN: (Powraca błądy.)

Jacyś mierzą w lesie...
 kamienne kopce białe sadzą,
 śmieją się z pieśni, cicho radzą
 i tu zmierzają.

JÓZEK:

Bodaj pieśń moja, którą jeszcze niesie
 ostatnie echo ku Wam, już w tym lesie
 była ostatnią pieśnią!
 Tak — że Was nie wzruszy,
 jak tylko na śmiech granie naszych lasów?

HANKA:

Bodajście takich doczekali czasów,
 żeby w tym lesie ani jedna róża,
 co czeka z trwogą szesnatego roku
 i na wdziek światła oczęta przymróża,
 nie rosła!...

JAN:

Bodaj tu z obłoku
 zamiast deszczu ciepłego, sypały się grady,
 a bodaj wszędzie gnieździły się gady
 z żądłami żmij!

JÓZEK:

Chodźmy...

JAN:

Tajną drogą...

(Odchodzą wszyscy trzej w głąb lasu, pozbie-
 rawszy przedtem siekiery, piły i wszelki inny
 sprzęt. Chwilę scena pusta. Potem słychać w lesie
 jakieś mrużenie pod nosem. Wreszcie z tyką i jed-
 nym końcem długiego sznura wysuwa się gajowy.
 Na środku wbija tykę. Ustawicznie śpiewa, mru-
 cząc:)

GAJOWY:

Kedź som išoł prez les černy,
 był mesiček na hroni
 Swiet mesičku! swiet! — wže owczar
 paše byrki, baroni...
 Kedź som išoł na hol biłu,
 šel mesiček za hori...
 Owčar žene si sa byrki
 prez zelene jawory...

(Wzdłuż wyciągniętego sznura postępuje Inżynier z notesem, ołówkiem i latarką w rękę. Ciemno. Za Inżynierem Leśniczy z strzelbą przez ramię. Za nimi dowolna ilość panów i różnych posługiwaczy.)

INŻYNIER: (Stojąc przy tyce, wpisuje.)

Przeklęty las! Służba mi już zbrzydła!
 Chodzić w nocy po lesie, jak głupie straszidła.
 Niech jeszcze w ślepie błysną oczy wilka,
 tego potrzeba...

LEŚNICZY:

Jeszcze proszę kilka
 sążni wymierzyć w ciemność tego lasu,
 a potem już zarządzam powrót do szałas.

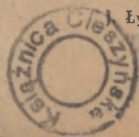
INŻYNIER:

Już ani kroku dalej! Do szałas blisko
 cztery godziny drogi zawałonej głazem.
 Ja muszę spocząć. Tu jest wyrębisko,
 siadajmy wszyscy dookoła razem.

(Siadają. Wyjmują z worków i plecaków pożywienie.)

W nocy jest ciężko, a we dnie nie można
 puszczać się z służbą w te bory przeklęte!
 i tak postawa chłopstwa jest już groźna.
 Zagony ziemi dla nich przecież święte.

(Odezwie się szum drzew, kołyszanych wiatrem.)



Jawory szumią! Słuchajcie Panowie!
 To się modlitwa lasu teraz rozpoczyna.
 Tak wzdycha ziemia, gdy... słowo po słowie
 szepce otchłanią boru, swego syna...

LEŚNICZY:

Znam ja to miejsce.
 Tu się dzieją rzeczy
 naprawdę dziwne. Nikt mi nie zaprzeczy,
 bo sam widziałem, a mam dobre oczy:
 Z pośród tej brzozy zielonych warkoczy
 sunie raz dziewczę jakieś prosto ku mnie.
 Stanie... i rzęsy wzniesie i spogląda dumnie.
 Strach mię ogarnął. Stałem się kamieniem,
 a dziewczę śliczne zatoczy ramieniem
 i mówi... szepce... coś dźwiękami pieśni:
 „My tu rządzymy! My, wasale leśni,
 wierni poddani Starca — Króla — Ducha,
 przecudne twory starodawnej baśni!
 Każde stworzenie głosu Jego słucha.
 A ty idź z lasu! Nie chcę z tobą waśni,
 idźże w spokoju stąd do swego domu“!
 A jam stał cicho. Jakby siłą gromu
 zmieniony nagle w kamiennego trupa.
 Więc, jak figura posagu, lub słupa
 stałem tak nieruchomy — chwilkę przy tej jodle.
 Raz hen, w dolinach, w starym lesie, podle
 tego jeziorka, któreście widzieli,
 pewien młodzieniec gonić się ośmieli
 za ową zjawą, czy też duchów córką.
 Ona sobie z chmurką
 igra i tańczy po wodnem przeźroczu,
 a ten łotr patrzy i nie spuszcza oczu.
 Nakoniec: hajże! Rozwarłszy ramiona,
 rzucił się w wodę..

Już tonał...

Lecz ona
ciało, już śmiercią mdlejące,
chwyciła w wieniec ramion...

Śmiejące
usta z jego spoila ustami...
Owinawszy zielsk chustami,
wysadziła na brzeg. Leży
tedy na trawie, spętany, trup świeży.
Ale go słońce ogrzało — i siwe,
człowiecze oczy rozwarł...

A wtem straszliwe
widmo, jakoby starca... z złotym kijem...
Spadł piorun i w lasy runął głuchym hukiem.
Jużci niema młodzieńca...

Stał się młodym bukiem.

INNY:

Tak go poraził piorunowym grotem!
To pewnie pieśń śpiewa o tem:

(Śpiewa:)

Buku mój! buku mój!
co tak smutno szumisz?
Czy ty ludzką mowę słyszysz i rozumiesz?
Gałązkami chwiejesz ku wodom jeziora,
listeczki otrząsasZ każdego wieczora...
Huczą grzmoty, huczą... Ty się tego boisz?
Czemu tak struchlały przy tej wodzie stoisz?

INŻYNIER:

Mój Boże kochany! Gdzie też są te czasy,
kiedym pod strzechą rodzinnego domu
słuchał tych legend! Łąki, pełne krasy
kwieciej, zwiedzałem, by kwiatki rwać...

[Komu?

Ostatnie szczątki jabłoni — suchara...
A trochę wyżej... lipa, bardzo stara,
a potem łany — het!... i snopów kopa...
Pamiętam jeszcze, że jest synem chłopca.
Chłopi kochają bardzo swoją ziemię...

LEŚNICZY:

To prawda. Ale jeszcze w ciemie
są strasznie bici! A przytem okrutni,
choć junacy weseli i butni.

Za łeb, to zaraz każdy u nich sięga.

INŻYNIER:

Jednak to kiedyś byłaby potęga.

Kto wie, czy nawet nie byłoby próżno
sięgać po swoje prawo do lasów i pól...

LEŚNICZY:

Rozumie się!... Byłoby zapóźno
Dziś czas najwyższy!

Wprawdzie chwytą ból
i żal się w głębie serca wkłada,
że musi cierpieć gorzko ta gromada,
gdy się tak w środku pola kopiec wsadzi.
Cóż jednak robić? Tu nikt nie poradzi.
Ziemia jest nie ich.

Może przyjdzie pora,
co się z nieszczęściem chłop jakoś upora...

INNY:

A może przyjdzie takie święto,
co zdoła we łbie i to wyrozumieć,
że nic mu z jego własności nie wzięto.

INŻYNIER:

Wszystko nam jedno! Dziś postawa groźna
u nich; z służbą trzeba w nocy,
bo w dzień — z obawy przed buntem — nie
(Do Leśniczego.) można

Panie! Czy niema — pytam się — obawy,
że skądś, z pod ziemi, wyjdzie hasło buntu?

LEŚNICZY:

To mamy wojsko, — mój Panie łaskawy!
Podobne chęci zniszczymy do gruntu!
(Szelest niedaleko. Leśniczy zaniepokojony.)
Co to? Co tam? Może Pan zobaczy?
Idź Durdik obacz!

GAJOWY:

Pre Boha! hytre straha!

Ne idu!

LEŚNICZY:

Pst!

GAJOWY:

Maryjo draha!

(Wchodzi smolarz. Wszedłszy, zdziwi się i stanie. Kapelusz zdejmując. Leśniczy wpatruje się weń. Poznaje go.)

LEŚNICZY:

Smolarz, czy dyabeł?

SMOLARZ:

Smolarz, z przeproszeniem...

LEŚNICZY: (zrywa się w gniewie.)

Bydlę! Precz mi stąd! bo zaraz zastrzelę!

Precz! Słyszysz?

SMOLARZ:

Z karczmy „Pod Jasieniem“

idę. Powiem coś, ino się ośmielę.

Coś dla Pana fersztera niezmiernie...

LEŚNICZY:

Mów zaraz!

(Chłop spogląda na resztki jadła niedojedzonego i wódki niedopitej.)

CHŁOP: Wódka!!

LEŚNICZY: (Wskazuje mu nogą.)

Możesz.

CHŁOP: (Porywa flaszkę.)

Wódeczko ze ćwierci!

Matko moja jedyna!!

(Pije bez upamiętania.)

Ona jak zawierci

we łbie, człowiekiem do gnojówki rzuci,
to tak, jakby w somsieku spało się przy dziewczce.

(Pije.)

A co mi tam sąsiedzi! Daruję ich katu!
 Jest gorzałka, jest wszystko. Mojej lubej Ewce
 wszystkie zęby wytłukę, Michałowi, bratu,
 co mi się worał z wiosną do przyłoga,
 wszystkie szopy ze sianem tej nocy podpale.
 Niech żyje wódka, gorzałeczka droga!
 Późnej flaszki nie lubię. Zaraz ją rozwalę
 o jaką starą karkosz na spróchniałej sośnie.
 Niech żyje wódka! Niech żyje! Niech rośnie!
 (Bierze drugą flaszkę z ziemi i pije.)

LEŚNICZY: (Biorąc go za ramię.)

Ty jesteś obywatel! Powiedzno mi bracie,
 co tam w karczmie słyszałeś?

SMOLARZ:

Mamy czas, kamracie
 Z siwym wąsem pod nosem.

(Chwyta go za wąsy.)

Podkręć sobie wąsa!

Chcesz wódki? Pij!

(Ciśnie mu.)

Czego on się dąsa?

Nie wiesz, bracie, co dobre, skoro nie chcesz
 wódki.

LEŚNICZY: (Udaje, że pije.)

No widzisz? Ja już piję! Lecz czas mamy
 krótki...

Możebyś już powiedział...

SMOLARZ:

A o co ci chodzi,
 Stary łachu?

LEŚNICZY:

To się tak nie godzi
 nazwać łachem swojego pana, dobrodzieja...
 Dobrodziejowi raczej powiedz...

SMOLARZ:

Jeja, jeja!
 Dają pyska, ferszterku!, a wszystko się złoży...

(Rozczulony, chce leśniczego całować. Leśniczy odpycha go ze wstrętem. Po chwili.)

Co w karczmie? Oho bracie! Wielki bunt się sroży.

(Z widoczną przesadą mówi dalej.)

Będziesz ty wisiał na grubym powrozie,
lub ci grdykę poderzną. Już tam bruszą noże.
Żonę twoją utopia, — jak słyszałem — w rzece,
dzieciom uszy obetną. Tóż to będą hece!!

Daj mi wódki wisielcu, mężu topielicy.

Ci drudzy, co tu robią? Czy to jacy dzicy
pastuchy krowskie, czy świńscy handlarze?

Tym sąsiedzi zapewne przyniosą tu w darze
tylec ciężkiej siekiery. Daj im wódki Stary!

Daj mi wódki! Nie słyszysz?

Zbliża się czas kary,

ty i oni już tylko krótką chwilę żyją.

Daj im wódki, kamracie, — niech przed śmiercią
piją...

(Leśniczy leży na ziemi. Oblicze w dłoniach.)

LEŚNICZY:

Litości! Ratunku! Chodźcie wszyscy święci!

SMOLARZ:

To tam w karczmie za stołem rozmaicie się
kręci.

Pal dyabli chłopskie sprawy! Ja wolę z panami
(Nadyma się dumą.) za pan brat.

Panowie! A więc między nami
przymierze! Zawsze swój do swego,
swój ze swoim, soj soim, sojsojwse ten tego...

LEŚNICZY:

Toć my się z Tobą zgadzam na przymierze,
ino nam powiedz — sojuszniku — szczerze,
kiedy i jak bunt chłopski i gdzie się rozpocznie.

SMOLARZ:

Aha! Prawda, że ja sojusznik? A to ci się chwali,
że taką cześć oddajesz. Ja będę ze stali,

ty będziesz... no... z miedzi.

Hejże więc w karki tłuc wszelkiej gawiedzi!

(Rzuca się na obecnych. Uderzy pięścią w kark leśniczego i innych. Ale go zaraz pochwycą, przewrócą na ziemię. Inżynier klęka mu na piersi i, pochwycawszy pod gardło, krzyczy:)

INŻYNIER:

Leż i gadaj, o co cię się pyta.

SMOLARZ: (ochrypły.)

Sojusznik sojusznika już pod gardło chwyta!

No! skoro tak, to powiem. Tylko popuść karku.

INŻYNIER: (Dusi silniej)

Będiesz gadał?

SMOLARZ:

Już gadam. Gorąco, jak w piecu.

Wszystkie chamy gadają o jakowymś wiecu dziś o północy w jakimś „Czarnym lasku“, w wyrąbanej polanie...

GAJOWY: (Zbliża się z tyłu do inżyniera i dotyka jego ramienia.)

Darujcie mu lasku.

(Inżynier puszcza. Siada i myśli chwilę. Chłop również siada i błędnie okiem wodzi wokoło. Chwila ciszy.)

INŻYNIER:

W wyrąbanej polanie...

(Rozgląda się, zatrzymuje wzrok na pniach i powalonych śniatach. Potem nagle krzyknie:)

A więc tutaj!!

(Do Leśniczego.)

Panie!

Na miłość Boską! Posyłaj posłańca, niech tu komendant wraz na zawołanie posyła silny batalion wojska!...

(Kurtyna.)

AKT II.

Scena ta sama, co w akcie I. Tylko gałęzie i wszelki chrust usunięty. W środku tli ognisko, podsycane przez dziewczęta, które tu krzatają się około ostatecznego przygotowania placu. Rzucają na ziemię resztę kwiatów. Prócz nich są na scenie Dudziarz i Skrzypek. Za podniesieniem kurtyny Dudziarz, trochę podpity, wygrywa skocznie na kobzie i tańczy.

DUDZIARZ:

Czarna nocka, biały dzień,
hulaj! hulaj! czary zmień,
hulaj! hulaj, — czary siedzą
popod polem, popod miedzą,
hulaj! hulaj! czary zżeń...

SKRZYPEK:

Dyć popuść gajdy na całe koło,
a nie graj tylko na czterech dziurach.
Piszczołkę trzeba namazać smołą...

DUDZIARZ:

Ty mi tu stary gadaj o bzdurach!
Mnie jeszcze uczyć na gajdach grać!
Jeszcze są w lesie, więc nie rozpoczęty,
to mi nie trzeba wszystkiej pary brać.

SKRZYPEK: (Spogląda w las.)

Każdy urywa gałązkę jaworu.

DUDZIARZ:

To będą czapki w takie liście zdobić...

SKRZYPEK:

Jako duchowie są — w pośrodku boru.

DUDZIARZ:

Co też z tem tylko potem będą robić?

(Zaczyna się w lesie cicha pieśń.)

Strój gęśle stary! Pójdziem naprzeciwko.

Nutę przychwycim w gajdy i skrzypicę...

SKRZYPEK: (Strojąc skrzypki — do Hanki.)

Chodź z nami! Pójdiesz? białolica dziewczko,

Poniesiesz naprzód łuczywo, lub świecę...

(Odchodzą. Północ. Naokoło pusto. Słychać tylko zbliżający się z lasu chór. Idą gromadą wiecownicy. Na przodzie z pochodnią Hanka, obok niej Józek ze skrzypcami. Za nimi Dudziarz i Skrzypek. Wszyscy trzej grają.

Wszyscy wiecownicy mają za kapeluszami gałązki jaworu.)

Pieśń:

Niema już ziemi, więc niema już pieśni,
niema już doli.

Wszystko w śnie ciężkim jeszcze się nam prze-
śni o naszej roli.

A kiedy spadnie z gruntów zgniła socha,
każdy syn ziemi, który ziemię kocha,
w postać zmieniony żebraka — kaleki,
z ziemi praojców pójdzie w świat daleki.

(Podczas tej pieśni gromada wwali się prawie bez ładu na scenę. Jeszcze śpiewając, zajmują miejsca. Śpiew kończy się, a wszyscy jeszcze miejsc swoich nie mają. Uwija się wpośród nich Jan, porządkuje, usadza.)

JAN:

Rabaliśmy przecie cały dzień,
jest gdzie siaść. Są łuby, konar, pień.
gdzie tam kto może, niechaj siada.

(A kiedy już wszyscy siedzą, Jan zajmuje miejsce w środku koła przy ognisku i zaczyna mówić zrazu zcicha i powoli.)

Bracia chłopci kochani! Nie będą już zdobić
hali podgórskiej owiec naszych stada.
Nie pojedziesz, — nie bój się — szędziółu narobić
w swój las. Własnej nie poznasz koliby.
Kosę zawieś na klinku, pług przewróć do góry
bo nie na swojej ziemi orałbyś już skiby.
Zgodnymi wszyscy pytamy się chóry,
czy też jest jaka na tę klęskę rada.
Jeden narzeka: „O biada mi, biada!“
Drugiemu rozpacz twarde dłonie ściska.
A ja wam mówię, że jest chwila bliska,
co ziemia naszą będzie, jak długa, szeroka,
że nie potrzeba łą zalewać oka,
tylko poczekać, ścisnąć trochę zęby...
Oto, — gdym z Józkiem rąbał te sosny i dęby,
przyszedł ci do nas jakiś dziwny człowiek,
którego słowa były, jak kamienie.
Sama mu mądrość patrzyła z pod powiek,
jak święte było każde rąk skinienie.
Ten ci zwiastował wieść bardzo radosną,
Słuchajcie, bracia! — bowiem serca rosną,
kiedy się słyszy takową nowinę.
„Na wiece“ — mówi — troszeczkę zawczasie,
ale śpi wojsko, które kiedyś wskrześnie“.

(Wśród ludu gwar.)

Myślę ja z Józkiem i mało nie zgine,
bo prawda, bracia! — ja się przyznam szczerze,
że zapomniałem spytać owego człowieka,
gdzie, w której stronie śpią owi rycerze,
bliska to droga, czyli też daleka,
skała to jaka, góry, czy też kopiec.
Ale — widno w tem wszystkim święty Boży

[palec.

Nie wiem, skąd przyniósł książkę mój brat,
chłopiec.

Czytam:

LEGENDA.

Był kiedyś wielki król — zuchwalec,
młodzieniec kraśny, z wojowniczym licem:
Bolesław Chrobry.
Pono naszych włości,
praojców naszych, — Pan ten był dziedzicem.
Za jego czasów u nas ludzie prości
dobrobyt mieli, jako nigdy potem.
Jak to tam wszystko opływało złotem,
jak się mieniło w świetle tego słońca,
co nad krajem świeciło od końca do końca
i dobrem ciepłem łany kmieci grzało!
A zboże — bracia! — wtedy takie stało
w krainie Bolesława, jako las wysokie.
Anibyś — bracie! — nie ogarnął okiem
onego łanu, kiedy ponad zboża
wiatr przewionął. Jako fale morza
wzdymały się ku niebu złote fale kłosów.
Takiem bogactwem darzył Bóg z niebiosów
onego króla i lud jego cały.
Takiem weselem czasy te jaśniały,
że dziś już o tem nie śni się nikomu.
Cesarz niemiecki przyszedł raz w gościnę
do Bolesława wspańskiego domu.
Król nasz wieczerzał z rycerstwem pospołu
przy jednej ławie, — z szczerozłotej misy;
Cesarz wysoko zasiadł był do stołu,
a jego pany po kątach, jak lisy.
O! Zaczny to był król! Dobry w czas spokojny,
ale srogi podobno wrogom w chwilach wojny.
Był najazd na granice.
Król węża pociągnął,
przywdział zbroicę i na ścianę sięgnął
po miecz. Już rogi huczą w strony świata,

po wszystkich opolach z wiatrem wieść ta lata,
co tchu ją chwyta w usta młodzieź zbrojna:
„Za Ciebie królu! Za kraj! Wojna! Wojna!”
Król własną piersią w szeregach rycerzy
własnych poddanych od wroga ochronił.
A wiecie, — bracia! — człowiek nie uwierzy, —
że naszej ziemi szczególnie on bronił.

(GWAR.)

Cicho więc bracia! Będę mówił dalej:
Kiedy król Chrobry kończył żywot w chwale,
przeczuł w swej duszy, że szczęśliwe chwile
kiedys po wiekach dla narodu zgasną.
Prochów więc swoich nie złożył w mogile;
rycerzy zebrał, rozkazał: „Niech zasną!”
„Wszyscy rycerze przy królewskim boku
hen się położą w pobliżach obłoku,
w grocie żelaznej, w cieniu, — na sen cichy”.
„Różne tu czasy przejdą po tej ziemi.
Przejdą wspaniałe mężowie ze stali
i hufce wojska. Ziemia ta wielkimi
bojami wsławi się. A my będziemy spali
w grocie żelaznej. A każdy czyn chwały
uderzy echem o zmurszałe skały
i będzie nam śpiewać do snu pieśni o tem,
jak syny ziemią gospodarzą.

Potem

nastaną czasy bolesnego płaczu.
Ziemia zapłacze, wojska zginą, czarne kruki
na płotach kiedys złowrogo zakraczą.
Wówczas się zbudzim. Nieszczęśliwe wnuki
polecim mieczem zasłonić przed klęską.
Stoczymy bitwę okropną, zwycięską
i znów się położym w cieniu, na sen cichy”.
Zamilkły rogi, a próżne kielichy
schowano kędyś na pamiątki w szafach.
Ale król stary, śpiący w skalnych rafach,

czuwa i czuwa. To śni, to się budzi.
 Z brzękiem żelastwa zastęp zbrojnych ludzi
 podnosi głowy, oczekując słowa.
 Ale królewska znów opada głowa,
 marzeń spokojnych snując dalszą przedzę.
 Królu kochany! Czy znasz naszą nędzę?
 Królu kochany! Widzisz serca nasze?
 W piersiach nas pali rozjątrzona rana —
 Już czarne kruki siadły na poddasze,
 w którego cieniu przeszłość ukochana
 spływała w pieśni o dniach Twojej chwały.
 Łany zbożowe już opustoszały,
 jeno tam teraz czernią się jałowce.
 Z żalosnym bekiem zeszły z hali owce,
 a juhas stary z osiwiąłym baczą
 skryli się w skały leśne i tam płaczą.
 Wszystko się topi i ginie w rozpacz,
 krzyżem strasliwym los nam dołę znaczy.
 A przecież wnuki jesteśmy — kość z kości
 tych, co tam z Tobą śpią w żelaznej grocie.
 Wnuki rycerzy, poległych w przeszłości,
 których mogiły wróg zatapia w błocie
 i depce hardo kopytami koni.
 Któż nas w tej ciężkiej godzinie obroni,
 jeżeli nie Ty. Wstań już Mocny królu!
 Nie śpijże dłużej — królu — w ciemnej studni!
 Niechaj podkova rumaka zadudni
 od skał tatrzańskich, jako echo burzy,
 a połysk miecza niech ciemność rozchmurzy,
 i niech na nowo od końca do końca
 nad naszą ziemią świeci promień słońca.
 W Twoją my — królu — jeszcze wierzę gwia-
 [zdę!
 Obroń nas — królu! — Przed obcym najazdem.
 (Gwar, który zmieni się w groźny i gwałtowny
 krzyk.)

CHŁOPI:

Gdzie on jest? Gdzie to? Gdzie
ten król łaskawy?

Pójdziem gromada, padniem na oblicze!

JAN:

Gdzie jest, ja nie wiem. Ale ja tak liczę,
że to — sąsiedzi! — będzie w jakiej skale,
dokoła której lata wraży wiatr,
gdzieś hen daleko, w skalnych turniach Tatr.

CHŁOPI: (krzykiem.)

Pójdziem gromadą szukać królewicza,
pójdziem na skargę! Padniem na oblicza...

JAN:

I ja tak myślę, kochani sąsiedzi.
Ze trzech, ze czterech posłać ku tym Tatrom,
kiedy na skale biały anioł siedzi,
ręce wyciąga ku jarzącym watom,
tam będzie grota.
W grocie śpi król Chrobry.
Bać się nie trzeba, bo to anioł dobry.
Tylko dyabeł zły bywa, lecz tam dyabła niema.
Któżby tam poszedł?

JÓZEK: (wyciągając rękę.)

Ja pójdę!

JAN:

Z czterema

innymi... Dobrze! Dośćby wystarczyło...

(Wtem, skacząc przez obecnych, okropnie
zdyszana, wpada Hanka na środek tłumu. Zrazu
słowa wymówić nie może. Jan zamikł i patrzy na
nią. Wszyscy patrzą.)

HANKA:

Tu!... tu... za wzgórzem...

(Grobową ciszą.)

Wojsko widać było...

(Jeszcze głębsze milczenie. Przerywa je Jan głosem drżącym od wzruszenia.)

JAN:

A słowo stało się ciałem...

Król idzie!!!...

Wiedziałem,

że Twoja braciom błysnie jeszcze gwiazda.

Witaj Mocarzu! Oto nasze gniazda,

chatki drewniane, każdy w kwiat owinie,

każdy, witając, głowę w ziemię, zniża

przed Tobą.

(Kłeka. Za nim kłeka tłum.)

Tyż to ciężar krzyża

przychodzisz zrzucić?

Witaj nam! Witaj królu — Gospodynie!

(Huk strzałów. Kilku pada na ziemię, głucho głową w tył uderzając. Niektórzy padają na twarze. Inni zrywają się. Okropne zamieszanie i krzyk nie do opisania.)

Nowy huk strzałów.

Znów kilku trafionych pada. Reszta w największym popłochu ucieka. Scena pusta, tylko na ziemi leżą zabici i ranni. Niektórzy robią bolesne ruchy. Jęki. Po chwili wchodzi Hawla; za nim żołnierze. Hawla — oficer starszy.)

HAWLA: (jeszcze za sceną mówi do leśniczego.)

Chodź Pan! Co tak Pana drażni?

Nie bój się nic. Umarły już ożyć nie może.

(Do żołnierzy, wskazując uciekających.)

Łapać i wiązać! Na ręce włożyć

powrozy i prosto w drogę! — Prowadzić do
[kaźni.

(Wojsko idzie.)

Napij się pan wódeczki. to strach zaraz minie.

(Podaje mu.)

Darmo! Pan kazał. Kto się rodzi, ginie.

Próżno rozmyślać. Czasu tylko szkoda.

LEŚNICZY:

Prawda — mój Hawło! Ta wódeczka doda animuszu.

HAWLA: (Mimo wszystko nie może się sam oprzeć zdumieniu nad tem, czego dokonał.)

Prawda, że to krew!

że krwi tej szkoda, że jej mocno żal.

Cóż było robić? Toć bunt!... Wbrew sercu i sumieniu dałem rozkaz: pal!

LEŚNICZY:

Radzili nad tem, jakby nas zarzynać,
a dzieciom naszym, jak obcinać uszy.
Żony nam topić chcieli...

HAWLA:

A skoro się ruszy

ich dzikie serce, będzie już zapóźno.

Pij Pan, a chodź! Debatować próżno.

Groziły rzezie, trza było zapobiedz.

(Przechodzą za wojskiem. Scena przez chwilę pusta. Wschodzi księżyc i światłem oświeca smutne pole śmierci. Zlekka zaszumi wiatr. Wreszcie za drzewem pokaże się Nieznajomy. Oparty na złotej ladze, patrzy.)

NIEZNAJOMY:

Stójcie! Zamilczcie o wasale leśni,

aż się sen twardy tym rycerzom prześni.

Koło nóg moich, koło tego kija

wije się skarga, jak żmija,...

czepia się podartych chust

i sięga ustami

moich ust.

Skargo daremna! Przyszłaś? Spojrz mi w oczy!

Gdzie jest mój dobry głos proroczy,

że macie siedzieć doma, a ogniska
domowego strzedz, by tliło??

Mówilem przecie: „Oto chwila bliska,
w której dam hasło, a wojsko, co śniło
sen przedwiekowy, zaraz się obudzi“.

Wyście na wiece poszli od ogniska.

Mówilem przecie: „Oto chwila bliska,
co wielki płomień w chatach się rozpali
i wstanie wojsko... Będziecie czekali,
ja do was przyjdę. A do tego czasu
ja będę bronił roli, łąki, lasu.

Mówilem przecie! Idź skargo daremna!

Nie płacz mi teraz! Noc dzisiejsza ciemna,
wchłoń się w jej ciemność, rozwiej się i zmarniej.

(Dumając.)

Sto zatem mogił wyrośnie na nowo...

i sto rycerzy rozsypie się w proch.

Ty Wszchemogący! dusze ich przygarnij,

Ty sam im powiedz ostateczne słowo,

Sam w dźwięki pieśni wszystko zakuj!... Och!

(Odchodzi. Ów słaby dotychczas podmuch zerwie się w silny wiatr, który ze świstem zakręci się nad umarłymi. Zerwane liście zatoczą się szalonym wirem i polecą wdal. Z ziemi podnosi się Józek. Jego prześliczna twarz skrwawiona.)

JÓZEK:

Co się tak w strachu trzęsie głupi liść?

Prawda! Chce go porwać wiatr...

Aha! Ja też miałem dokądś iść...

Dałem słowo: „Ja pójdę!“

Pamiętam.

(Potracił nogą o skrzypce. Bierze je.)

Moje gęśle!

Tyś mnie wodziła wszędzie, gęsło lipowa!

Tyś mnie wodziła wszędzie, gdzie nie po mnie,
 a serce tyś mi trzymała. Ogromnie
 tyś mię gęślo lipowa urzekła!
 Idź głupia! Idź, gdzie chcesz!... Do piekła
 możesz chodzić „Złemu” grywać...
 Jam ciebie słuchał, a inni wyśmiewać
 umieli twoje nuty głupie.
 Rozbiję cię skrzypico!!
 Rozbiję na słupie!

(Trzaska skrzypkami o pień drzewa. Skrzypki
 złamane i rozszczepione w drzazgi leżą u nóg Józ-
 kowych.)

Dałem słowo: „Ja pójdę!”
 Dokąd to?
 Ach!! Do Tatr!!
 Rozpalonych szukać wiatr
 i anioła przy nich.
 Do żelaznej wkroczyć groty,
 gdzie śpi wojsko i król złoty.
 Dałem słowo: „Ja pójdę!”
 Muszę iść. Rad nie rad,
 Muszę iść...

(Kurtyna.)

AKT III.

(Scena przedstawia izbę gospodarską, nadzwyczaj schludną, zamożnie, według najlepszych wzorów ludowych urządzoną.

Na scenie, trochę na boku — siedzi na ławie Jurek, chłopczyzna z włosiem długim, pięknie uczesany. Ubrany w koszulkę i spodeńki białe. Z tej samej strony na ławie siedzi Anna i przedzie na kołowrocie, lub wrzecionie. Jest to kobieta lat około 40. Niezbyt ładna. Widać z jej twarzy ślady trosk i zmagania się z życiem. Po drugiej stronie stół nakryty i stołki. Na ścianach obrazy. Jest Matejkowy obraz „Bitwa racławicka“, jest obraz Mickiewicza i różne inne. Szafka z biblioteką.)

JUREK: (śpiewa.)

Mówią dziewczki cicho
po całej dziedzinie,
że Józkowe miano
nigdy nie zaginie...

Wiater w polu szumi,
ku groniom poganio.
zaginał Motyka,
Zagineło miano...

Dawno już — mamó — ten Józek zaginał?

ANNA:

Oj ty go nie pamiętasz. Dobrze minął
rok może trzydziesty...

JUREK:

A wyście — mamó — tego Józka znali?

ANNA:

Daj Jurku mamie spokój!

Skrob ziemniaki!

Tyle się wspomnień dzisiaj na mnie wali,
tak się widziadła zlatują jak ptaki,
•skrzydłami o ściany biją
i jęczą żałośnie. Krew ze serca piją,
aż się nieszczęsne serce szarga,
jak gdyby wyskoczyć chciało, gdzieś na pola.
Lecz darmo! Darmo! Boża wola!
Ja nie rozerwę tego, co Bóg złączy...
Ej! Nie! Nieraz się ból sący
w stęsknione serce za „nim“ jakby sący!
w spaloną ranę bardzo gorzki jad...

(Tymczasem Jurek zbiera książki z zamiarem
wybrania się do szkoły, czy też na jakąś lekcję. Nu-
ci przytem:)

JUREK:

Ospały i gnuśny, zgrzybiały ten świat,
Zadanie jest! Atlas! wszystko! Mamó!

(Matka głaszcze go po głowie. Józek wybiega
i śpiewa wesoło):

Stańmy bracia wraz,
ilu jest tu nas.

Zróbmy przyjacielskie koło... i t. d.

ANNA:

Samo

to dziecko jeszcze, jak kwiat wśród pustyni.

(Zrywa z doniczki w oknie jeden kwiat.)

Błogosławiona chwila, w której jeszcze
dano z kwiatkiem obcować:

Ach! tak pieszczę

się tobą mój kwiatku, jakbym się pieściła
rękami „jego“ — Józka.

W tej godzinie tęsknoty, która serce gniecie
jak воск, a z oczu łzy smutku wyciska,
ty zostań ze mną kwiatku!... Wydałam nazwiska
wszystkim kwiatom. Twoje? Ha! ha!: „Zbój-
[nik“.

Iżes krasą dorównał, iżes równie piękny,
iżes z róży koloru, jako jego lica,
tyś jest „zbójnik — młodzieniec“. —

(Zrywa lilię.)

Lilia — „dziewica“.

(Po chwilce rozmyślań.)

Któż zresztą wie, gdzie on bywa...
Z którego źródła pił ostatnią wodę...
Może na gęśli gdzieś daleko grywa,
może zamorzon torturą, lub głodem,
jak tylu innych. Mirowie! Mirowie!

(Patrzy w okno.)

Chmura zaciąga. Jeszcze na Girowie
rąbek słoneczka. Już ginie...

(Pukanie na drzwi. Anna nie słyszy. Cisza.

Naraz, jakby otrzeźwiała.)

No! darmo! Krowy idą! Dzwonią
dzwonkami w przygonie. A świnię
to pewnie jeszcze pod chlewami gonią...

(Powtórne pukanie na drzwi. Wchodzi dwóch
elegantcko ubranych panów. Pierwszy chudy i wy-
soki. Twarz stara, dobrotliwa, chuda. Broda biała.
Oczy przenikliwe. Palto siwe. Ubranie czarne an-
głez. W rękę laska.

Drugi z powierzchowności zupełnie przecięt-
ny. Palto czarne. Ubranie siwe. O pierwszym — nie
wiadomo, kto jest, — drugi, to Poeta.)

OBAJ:

Dzień dobry.

ANNA:

Ach! Dzień dobry Panom.

POETA:

Czy Pani sama w domu?

ANNA:

Teraz sama...

Proszę siadać, — Panowie, proszę, proszę sia-
[dać!

POETA:

Z mężem Pani chcieliśmy pogadać.

ANNA:

On — proszę Panów — teraz zboże kosi,
lecz niedaleko. Zawołam...

POETA:

Ktoś prosi,

ktoś z gości niespodzianych, — Pani powie...

ANNA:

Gość w dom, Bóg w dom, proszę was Panowie,
rozgośćcie się, spocznijcie pod dachem tej chaty.

(Odchodzi. Przybyli zrzucają palta, wieszają je.

Potem siadają przy stole.)

POETA:

Zagroda wiejska... gospodarz bogaty...

Ziemia mu — widać — plennie rodzi.

NIEZNAJOMY:

Owoc tych trudów, o który od dawna
w tylu marzeniach najbardziej nam chodzi.

(Chwila milczenia. Poeta na stole palcami
bębni.)

NIEZNAJOMY:

Tak mi się zdaje, że to już stulecie
i, że to stało się gdzieś tam, za morzem...

że z krwi tej ślady już dawno zatarte,
dawno pokryte trawami i zbożem.

Jednak, kiedy się wpatrzę w ono morze kłósów,
w których niby na harfie grają wiatry letnie,
i kiedy tęskny słucham owych głosów,
wyraźnie słyszę i odczuwam świetnie,
że tam głos „Skargi“ jeszcze ciągle dzwoni.

Czasami znowu akord całej błoni,
 Związany z takich właśnie tonów polnych,
 zdaje się wołać: „Budźcie się do czynu!
 Wszystkich was chcemy — ziemi naszej synu —
 widzieć nad nami, jako gazdów wolnych“...
 Więc wierzę mocno, że owo śpiewanie,
 co się odzywa do mnie z głębi roli,
 chce mi przypomnieć moje powołanie:
 „Idź! Zagój ranę, która lud ten boli“.
 „Idź, bo Twoja nadeszła już chwila.
 Ognisko w domach tli. Jeszcze nie zgasło.
 Śpiący lud w trudzie zмага się, wysila,
 by się obudzić. Czas, byś dawał hasło“.

POETA:

Jutrzenka świeci. Budzą się Polacy
 w tej ziemi dziwnej. Już podnoszą głowy,
 ręce sposobią do społecznej pracy.
 Zastęp rycerza już prawie gotowy.

NIEZNAJOMY:

Minęły lata. Długośmy czekali.
 Już będzie dobrze. Jeszcze w każdej chacie
 płomień „Oświaty“ jasno się rozпали...
 Ty bacz i notuj — mój poeto bracie.

POETA:

Wszystko notuję. Chwila osobliwa:
 Baśń ginie, a budzi się „Praca“.
 Kiedyś zaśpiewam... Będzie to pieśń tkliwa,
 łza pożegnalna Baśni...

NIEZNAJOMY:

Geniusz powraca
 choć przeszłość ginie. Dotąd skrzydła
 szeroko rozpościerał nad wioskami, rolą,
 wodził po lesie zmyślane straszidła...
 Dziś zapanował nieugiętą wolą
 i w przyszłość siłą wiedzie rzesze ludu,
 rzesze wojska...

POETA:

Wielka chwilo cudu!

Niech cię pamiętam! Niechże cię opiszę!

Widzę cię jasno, pojmuję cię, słyszę...

(Wchodzi Jan, gospodarz starszy, poważny, ubrany przyzwoicie i zamożnie. Wita uprzejmie.)

JAN:

Witam Panów w progach mojej chaty.

OBAJ:

Dzień dobry — gospodarzu.

(Wstają i podają ręce.)

JAN: (Do Nieznajomego, jakby sobie coś przypomniał.)

Pana już kiedyś widziałem przed laty...

NIEZNAJOMY:

Prawda. Lecz dawno. Oj! dawne to czasy.

Jeszcze szumiały wtedy wielkie lasy,

jeszcze z sałasy dochodziły grania...

JAN: (żartobliwie.)

Aha! Pamiętam. Jeszcze w czasie spania

Króla Chrobrego w legendarnej skale.

Prawda, — to czasy dawne. Ale

i tego Pana już kiedyś widziałem...

Był Pan na zjeździe „Rolniczego Kółka?”

POETA:

O tam nie byłem...

JAN:

Przy otwarciu szkoły

w naszej wioszczynie?...

POETA:

Byłem.

JAN:

Piękna szkółka,

prawda? Podoba się Panu?

POETA:

Byłem...

JAN: (który wpatruje się uważnie w twarz poety, przerywa mu nagle z radosnym uśmiechem.)

A wiem! Znam Pana! Zroili się pszczoły
z pięknego ula; usiadły na bryłę
skrwawionej ziemi, niewolą i wrzodem
shańbionej, — i teraz ją miodem
pokrywają, — a ból się uśmierza.
Serdecznie witam Pana w domu.

(Podają sobie ręce po raz drugi.)

NIEZNAJOMY:

My znowu „zbudzonego witam w Was rycerza“.

JAN: (do Nieznajomego.)

Pan jesteś sprawcą wielkich chwil przełomu.
To Pan sprawiłeś nieugiętą pracą,
że ci rycerze, śpiący w naszych chatach,
z roku na rok, dzień po dzień, a ciągle się tracą,
aż wszyscy zbudzeni powstaną po latach.

(Siada.)

My już tu — Panie — łzy dawno wylali
i dawno w sercach zagoili rany.

Dawno chęć zemsty pośród nas wygasła.

Na owych halach, kędy dawniej pała

piękna pasterka cielic stada,

po krwawych czasach posadzono drzewa...

Dziś tam corocznie srogi grad opada.

Już tam drózd pewnie nigdy nie zaśpiewa,

ni rozpadlina nie porośnie kwiatem.

Na ówyc miejscach, gdzie dawniej ogniska

śmiały juhasy paliły, dzisiaj rumowiska

pni połamanych, gałęzi i gałów.

A pod tem wszystkiem pełno różnych płazów,

żmij jadowitych, jaszczurek, wrzeczenic.

Strasznem zniszczeniem Bóg Wszechmocny
[karze

owe nieszczęsne krzywdy nasze. Wraże
ostępy — mówię, — straszne rumowiska.

My zapomnieli. Chętka zemsty niska
w sercach naszych, — powiadam Panom —
[zgasła.

Na klęskę dzisiaj znajdziemy sposoby
lepsze, niż wiara w cudowne legendy.
Nasi ojcowie wwalili się w groby,
krew ich strugami poląła się wszędy
i zakrwawiła wówczas cały bór.
Lecz krzywda przeszła, minęła, jak mór,
jak mija pożar, wojna, zaraza lub burza...
a dziś nad nami niebo się rozchmurza,
znów nad rolami od końca do końca
świeci kochany, jasny promień słońca.
Nasi ojcowie wwalili się w groby,
krew ich strugami poląła się wszędy,
ale już wojska nie szukamy w Tatrach...
Duszy my skrzydła przypieśli rycerskie,
że już nie lata, niesiona po wiatrach,
jak puch bezwolny. Żołnierskie
zastępy mamy pobudzone w chatach.
A owe groty, skały i granity,
skryte w spruchniałych odwiecznych limb
[światach,
to cicho zdawna wpatrzona w błękity,
słomą i gontem kryta chłopska strzecha.

NIEZNAJOMY:

Więc wszystko dobrze. Wielka to pociecha.
Teraz rozumiesz dawną prawdę słowa,
którem to wtedy przemawiałem do was:
„Siedźcież w domu! Moja już w tem głowa,
by ziemi bronić. Na wiecach nic po was“.
Dzisiaj już wiecie, róbcie. Zwołujcie się razem,
spajajcie silno braterskie ramiona,
a granitowym staniecie się głazem.
Zbliża się owa przyszłość upragniona,
o której dotąd mogłeś tylko marzyć.

Zbliża się chwila, co wasi synowie
sami swą ziemią zechcą gospodarzyć.

POETA:

Szanowny gospodarzu! Ja też moją prośbę
chciałbym wyjawić. Skończyliście kośbę,
siądźmyż na ławie. Toć wyście w one dni
przy wszystkim byli, wyście krew widzieli,
wyście długich procesów potem byli świadkiem.
Z dni tych wydarzeń są pieśni.

Śpiewał je ukradkiem
więzień splakany w godzinach tęsknoty,
gdy mu się dusza rwała na ojczyste płoty.
Jakieś legendy dziwne, wiary w cuda
w lasy was pono wodziły...

Chcę to pozbierać, jeżeli się uda,
tej poezji dodać trochę siły,
ówczesnych bohaterów imiona i czyny
chciałbym opisać w książkach, aby syny
pamięć o ojcach miały z czego czerpać
w czasy jaśniejsze, bardziej uśmiechnione.
Wy, gospodarzu, spisaliście one
pieśni, legendy i wierzenia wasze,
któreby można odnieść do tych czasów
cierpień ludowych i krwawych zapasów.

JAN: (wydobywa z szuflady dziennik.)

Owszem. Mogę Panu służyć.

W chwilę tych grzechów i nadużyć
ja duszą wracam zawsze chętnie.

Pieśni i klechdy, legendy i cuda! —

Wszystko to z góry wygląda ponętnie.

Jakaś postać olbrzyma, albo wielkoluda,
który skaliste góry dźwiga, lub wywraca,
który potem odchodzi i więcej nie wraca,
albo postać śpiącego w skale Bolesława,
i wszystkie hulające na rozdrożach duchy,
to jest rzecz — bądź co bądź — ciekawa,

a nawet piękna. Jak konarek suchy,
 którego liście wiatr stracił do błota,
 tak lud wygląda, jeżeli baśń złota,
 co mu zdołała domowe ognisko,
 niedoceniona poszła w pośmiewisko.
 Skarbem dla ludu jego pieśń dziewicza,
 pełna radości, wesela, tęsknoty...
 Mam tutaj w szafce „Pisma Mickiewicza“...
 czytałem słowa „Pieśni Wajdeloty“:
 O wieści gminna! Ty arko przymierza
 między dawnymi a młodszymi laty!
 W tobie lud składa broń swego rycerza,
 swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty.
 Arko! Tyś żadnym nie złamana ciosem,
 póki cię własny twój lud nie znieważy.

POETA: (Deklamuje dalej słowa Mickiewicza.)

O pieśni gminna! Ty stoisz na straży
 narodowego pamiątek kościoła.
 Z archanielskimi skrzydłami i głosem
 Ty czasem miewasz i broń archaniola.

POETA: (odbierając dziennik.)

Dziękuję! Ale jeszcze jedno.
 Jednej postaci chciałbym poznać dzieje;
 takiej postaci, które dzisiaj rzedną
 gwałtownie. Pamięć się rozwieje
 o nich; — pozostaną liczne,
 lecz słabe, jako wiatr wspomnienia...
 Będą się one błąkać na kształt cienia,
 a potem znikną i zginą...
 Był to tu w owych czasach
 jakiś Józek, — przezwiskiem podobno: Motyka.

JAN:

Gdzie się teraz smyka
 nikt nie wie. Padł wtedy od strzału,
 to sam widziałem. Potem w chwili szału
 i rozpacz i bólu bez granic
 zamknąłem oczy, nie patrząc już na nic.

Potem czekaliśmy nowej chwili zmroku,
 żeby trupa pogrzebać w mogiłach.
 Motykowego nie znalazłem zwłoku.

POETA:

Dziwna rzecz. A czy w jego żyłach
 nie płynęła, nie wiecie? jaka krew zbójcka?

JAN:

Błądzić po górach lubił on od dziecka,
 lubił z słońkiem rozmawiać, wpatrywać się
 [w wody

kryształowych rzek górskich. Był młody
 i cudnie piękny. Wygrywał na gęśli
 nuty wesołe, lub bardzo żałosne.

Zaczynał grywać szczególnie na wiosnę,
 a miał on wtedy niepojęte myśli
 o każdym ptaku, gałązce, lub kwiecie.
 Trochę weselszy zdawał mi się w lecie,
 a najsmutniejszy w początkach jesieni.

POETA:

Dziwna rzecz, dziwna rzecz. Wyśnieni
 w baśni tylko są tacy rycerze...
 Czy dacie wiarę, gdy wam powiem szczerze,
 że wasz Motyka Józef, ów muzyk zginiony,
 dzisiaj groźnym jest zbójem w Tatrach?

Miniony

rok spędził cały we krwi na Liptowie.
 Mieszka w zamczysku na Kralowej Hali.
 Ma dwieście chłopców, junaków — górali.

JAN:

Dziwna rzecz, dziwna rzecz. Szły i do nas
 [słuchy,

a nawet pieśni stamtąd do nas przyszły,
 sławiące dziwne losy tego juchy.

Alem nigdy nie wierzył.

POETA:

Widzicie? To przyszły
 bohater będzie moich pieśni.

JAN:

W wieku my obaj jesteśmy rówieśni.

POETA:

Szły nawet wieści, że w ostatnie czasy
pobierał swoje zbójniki — juhasy
i na zachód przez góry, do nas się przedziera.

JAN:

Do nas? Nie na rabunek zbójcka siekiera
Józka Motyka w nasze strony śpieszy...
Zatęsknił... Józef Motyka zatęsknił
do gniazda swego rodzinnych pieleszy.
Sam go przywitam chętnie i rad będę,
że zobaczę starego...

NIEZNAJOMY: Wstaje i bierze palto, laskę i kape-
lusz. To samo robi poeta.)

Przyjdzie Motyka! Czekam go ja sam!
Sam ja wywieszę wieniec u mych bram.
On także rycerz, potrzebny do dziejów.
Sam go przywitam.
(Podają Janowi ręce.)

JAN:

Panów Dobrodziejów
serdecznie żegnam.

NIEZNAJOMY:

Żegnam progi
waszego domu. Wszystko dobrze...

JAN:

Boże drogi!
Jakżeby źle było jeszcze po tej pracy,
po tylej pracy w znoju, w pocie czoła...

NIEZNAJOMY i POETA: Z Bogiem.

(Odchodzą. Jan patrzy w okno, skąd ich wi-
dzi, idących pod górę. Wszystką treść rozmowy
z nimi zdaje się rozważać. Poczem rzecze:)

JAN:

Tak! Dzięki Bogu! Pelniutka stodoła...

(Wchodzi Leśniczy. Staruszek siwy, przygięty. — Znać, że przeżywa chwilę niepokoju wewnętrznego.)

LEŚNICZY:

Wodzicie — gazdo — wzrokiem po stodole,
a dusza — widać — kędyś indziej chodzi...

JAN:

Tyle się dzisiaj wspomnień w duszy rodzi!
Z ponurych mroków przeszłości — w mozole
drapią się na wierzch widzenia...

A mota
rozgrzaną głowę jakowaś tęsknota
za kimś, co poszedł i... może nie wróci...

LEŚNICZY:

Cały dzień chodzę, jako obłąkany.
Czy dyabeł, czy co?... Coś mnie także smuci...
Coś się tam we mnie dźwiga i wyważa...
Noc spałem niespokojnie. Jakaś wraża
groźba się śniła, zemsta owej krwi...
Śnił się Motyka!... Oczy groźne!... Brwi...
Przyszedł ci do mnie i stanął zuchwale...
Sen mara, — Bóg wiara. Prawda to, Tak. Ale
Jednakże, kto wie? Józef nie zapomniał...

JAN:

Znowuś Pan owe dzieje krwawe wspomniał,
Sumienie się pańskie niespokojnie rusza.

LEŚNICZY:

Mój gazdo kochany! — pocziwa z Was dusza,
jam przecież nic nie winien! Boże!

JAN:

Ba! A kto winien? Przecież się krew lała...

LEŚNICZY:

Cóż było robić? Wszak brusili noże,
gotowali topory, cepy i powrozy...

JAN:

Kto? Jak? Kiedy gotował?!

LEŚNICZY:

Tłuszcza rozszalała!

Sami nosicie winę owej zgrozy!...

JAN:

Chryste Jezu!! Co też Pan powiada?!

LEŚNICZY:

Bunt zgnieść w zarodku, to jedyna rada,
której się chwycić — niestety — musiałem...

JAN:

Chryste Jezu!! Posłuchaj! Klnę się duszą, cia-
[łem,

że o żadnych morderstwach nikt wtedy nie

LEŚNICZY: [myślał...

A pocóż było leśne zbiegowisko?

JAN:

Ów wiec? Narada?

LEŚNICZY:

Tak jest! W lesie, blisko
siedmiu zwalonych od piorunów skał?

JAN:

Panie! Przysięgam! Jakbyś przy mnie stał,
że nikt tam zabijać nikogo nie myślał.

Wiesz Pan, nad czym radzono?

Posłuchano baśni

o śpiącym Królu...

LEŚNICZY: (rozdrażniony.)

Ależ przecie właśnie
wasi sąsiedzi gadali mi o tem,
że się bunty gotuje...

JAN: (ciągnąc dalej swoje.)

...o Chrobrym, a potem
uchwalili posłać czterech ludzi
do rozpalonych kędyś w górach wiatr,
do tego króla, czy się nie obudzi...
Czterech, czy pięciu miało iść do Tatr...
Takaśmy snuli bajeczkę dziecinną...

LEŚNICZY: (Zaczyna słuchać niezmiernie zdumiony. Obejmuje własne skronie. Jan patrzy weń i milczy. Starca chwyta rozpacz. W jej największem napięciu rzuci się w desperacyi do drzwi, wydając bolesny okrzyk.)

LEŚNICZY:

O Chryste Jezu! Lałem krew niewinną!!

(W tej samej chwili wbiega z książkami zdyszany Jurek.)

JUREK:

Tato!.... Tato!...

JAN:

Tu jestem! Cóż synku?

JUREK:

Tato! dla Boga!

JAN:

Cóż znowu „dla Boga!“?

JUREK:

Komendant Hawla zabity!

Przy Młynku

na Wyrszczku, — wiecie, — gdzie prowadzi do lasu bukowego droga.

JAN:

Komendant zabity?!

JUREK:

Na twarzy leżał. W czaszkę wbity
ma obuch w mózgu aż po tylec.

Dokoła kwiatki białe, gajowy zawilec,
wszystko krwią obryzgane.

JAN:

Któż go zabił?

JUREK:

Ba! nigdy nieznane,
przenigdy będzie nazwisko mordercy,
bo Hawla leżał na twarzy.

JAN:

Ha! niech się mu marzy
w śnie wiekuistym, że krew ojców płynie
w potoki zapomnienia...

(Nagle) Co się stało
z ciałem zabitego?

(Jan zaczyna się gorączkowo ubierać.)

JUREK:

Ludu się zebrało,
aże na wszystkich drogach było czarno.
Stoją tam jeszcze; a niektórzy płaczą...

JAN:

Okropne rzeczy! Ach! Co one znaczą?
Coraz to groźniej, coraz bardziej parno...
Gdzie mój kapelusz?

(Jurek daje mu kapelusz z klinka. Jan, ubrany
już, staje w oknie, w którym widać czerwoną zorzę.)

Takiż to żywot Twój wziął koniec smutny?

Tak się to dokonało? O Hawlo okrutny!

Prześliczna zorza! Ciebie to Duch Boży
kryje — mój Hawlo! — całunem tej zorzy.

(Zabiera się do wyjścia. Otwierają się drzwi.

Staje w nich Józef Motyka...

Stary, okrutny wilk zbójecki.

Ubrany w czerwone, szerokie spodnie. Buty
wysokie, świeące. Cyfrowany pas z kółkami. Cu-
cha biała, wyszywana na barkach. W ręce ciupaga.
Kapelusz czarny z białym piórem. Chwileczkę cisza.
Wreszcie Jan i Józef rzucają się sobie w objęcia.)

JAN:

Tyżeś to Józef!?

JÓZEF: Tęskniłem po Tobie...

JAN:

Myślałem dawno: „Pewno Józef w grobie“,
a on tu oto, kapiący od złota...

(Nowy uścisk)

JAN:

Tyżeś to stary? Otwieram ci wrota
domu mego po same zawiasy.

MOTYKA:

Nadeszły wreszcie upragnione czasy
powrotu mego. Z rycerzami wracam.
Dawnych morderców toporem przewracam,
Ibem złorzeczoną w kamienie im tłukę.
Już wiesz o Hawli? Tego włókę
strzeliłem w czaszkę, aż krew przysła.
A duszy jego niech świeci do piekła
łuna pożaru, Widzisz ją?

(Wskazuje okno. Owa zorza czerwona, zrazu
słaba, rozpostarła się szeroko i groźnie po niebie.
Ze wszystkich stron głosy trąbek strażackich.
Brzmi przejmująca zgrozą kwarta tu silniej, tam słabiej,
tu zdołu, tam zgóry. Jan przerażony idzie do
okna. Motyka trzyma go za rękę. Idzie z nim. Obaj
od strony okien oblani czerwonym światłem.)

MOTYKA:

Wściekła
w szeregach moich jest odwaga.
Darmo te trąbki grają, bo tam naga
kupa piecowisk jeno pozostanie...
Pali się leśniczówka...

JAN:

Jezu Chryste!!! Panie!!!
Józku! Józefie!! Dziś już czasy inne!
Pan Bóg już wszystko palcem swym przemazał!

MOTYKA:

„Prochy ojców winne
pomszczone być“ — tak mi kazał
wichru górskiego latający szum
koło spalonej słońcem mojej głowy.
Mam rycerzy zastęp nowy —
— Słuchaj mię Janku! —

Co się tam dzieje, niedbaj nic.
 Pożarnych świc
 płomienki zgasną nad wieczorem...
 — Słuchaj mię — Janku! —
 Błądziłem wtedy halą, borem
 od wieczora do poranku.
 Idę — bracie — do gór Tatr
 rozpalonych szukać watr,
 uśpionego króla...
 Nie było nic.
 Nie było, nie było...

JAN:

Nie było i niema...

MOTYKA:

Z spalonych lic
 łyzy palące kapały na skałę,
 rękami obiema
 darłem włosy rozwiane
 i puszczałem głosy przekleństwa zuchwałe.
 — Słuchaj mię Janku! —
 Idę w kosodrzew, a serce się szarpie.
 Aż tu pewnego poranku
 ogniki widzę, płonące na szkarpie.
 Witajcie watry!!
 Koło ogników uśpieni ludzie,
 a koło ludzi leżały... miecze.
 Pierwszego z brzegu wziąłem za włosy,
 zwalane w popiele i brudzie.
 „Jak ci na imię?“
 „Bolesław!!...” rzecze.
 Królu kochany! — krzyknąłem radośnie,
 (z ironią).
 bom ci takiego znalazł widzisz króla...
 Takiego króla — bracie —, co przy sośnie
 w podartych kierpcach leży..., uszy stula,
 gdy go się człowiek o słówko zapyta...

Żałość straszliwa serce moje chwyta,
 że tak marzenie o „rycerzach“ pryska,
 że tak mizernie czasem ogień zgaśnie,
 co jasnym światłem w ciemności rozbłyska,
 jako lampeczka, gdy ją wiatr zadraśnie.
 A tamten chwilkę czuprynę nasrożył,
 Wstał,... idzie ku mnie,... rękę mi położył
 na ramieniu i szepce, szepce w ucho:
 „Cóżes za jeden?“
 „Idź precz“! — krzyknę głucho
 aż mi się echo w turniach odezwało.
 Lecz tamten stoi i spogląda śmiało:
 „Hej se ty młody! Ślicne twoje lica,
 kie młodej sosny jes se twoja krosa.
 Moze cie kany jako carownica
 zrobiela takim. Fciołbyś za juhosa
 hoćke hoćkany snomi hodzić w turnie?
 Piórecko za copkom... Idzie sobie jurnie...
 Za pase pistolce, u boku siekiera...
 Takbyś hodził snami... Zbójnicek... Haj! Wiera!
 Syroko, syroko od jedle do bucka
 migo sobie piórko twojego kłobucka,
 kany se ta stompis, kany se ukrocys,
 tam krwie złorzeconej siekierom utocys.
 Case ta i teskno cłowieka ozpiera...
 Hoż se synku snami, hodź se hodź, haj! Wiera!“
 I patrz braciszku słowa tego juchy
 spadały w serce, ważyły, jak kamień,
 żem stał, jak dziecko pośród tych omamień.
 Szeptaly przytem pokusy złe duchy:
 „Masz tu rycerzy! Czego więcej szukasz?
 Czekaają na Cię turnie i szałasy...
 W niejeden zamek w cichą noc zapukasz...
 Aż kiedyś przyjdą upragnione czasy...
 Wtedy powrócisz z nimi hen! za góry...
 niech się wypełni, co jest przeznaczone.

Przystalem do nich. Odtad dymu chmury
 pokrywac jely liptowskie doliny.
 Owce na halach rznalem, kurczymy lupil.
 Przysiege zbójcow, zeby pomścić winy
 mordercow naszych zbrodniamim okupil...
 Teraz spełnione wszystko... Wszystko...

(Wtem słyszeć pieśń. Ogarnia i zaczyna pa-
 nować nad ogólnym, lecz dalekim krzykiem, słysza-
 nym ciągle od palącej się leśniczówki. Zbliża się w
 takt marsza pieśń i muzyka skrzypiec i kobzy. Ro-
 śnie jej potęga. Wreszcie na tle łuny widać przez
 okno głowy idących koło budynku zbójników. Ida
 gęsiego. Czarne kalepusze z fantazyą „dobrych
 chłopców“ nasunięte na ucho. Za kapeluszami so-
 kole pióra. Suną więc postacie, znamionujące nad-
 przyrodzoną siłę i odwagę, fantazyę straszną
 i okrutną, a przytem junaczą...)

PIEŚŃ ZBÓJNIKÓW:

Feśterku! feśterku! Hałupka ci gore!
 Świcy sobie Łuscyk na hodnicki w hore...
 Idzie sobie, idzie... Widno wele turni...
 a ty se feśterku, haj! dymecku kurnij!
 Kurnij se dymecku, włóż wągiel do falki,
 nie bedzie hałupki, stodoły, mastalki...

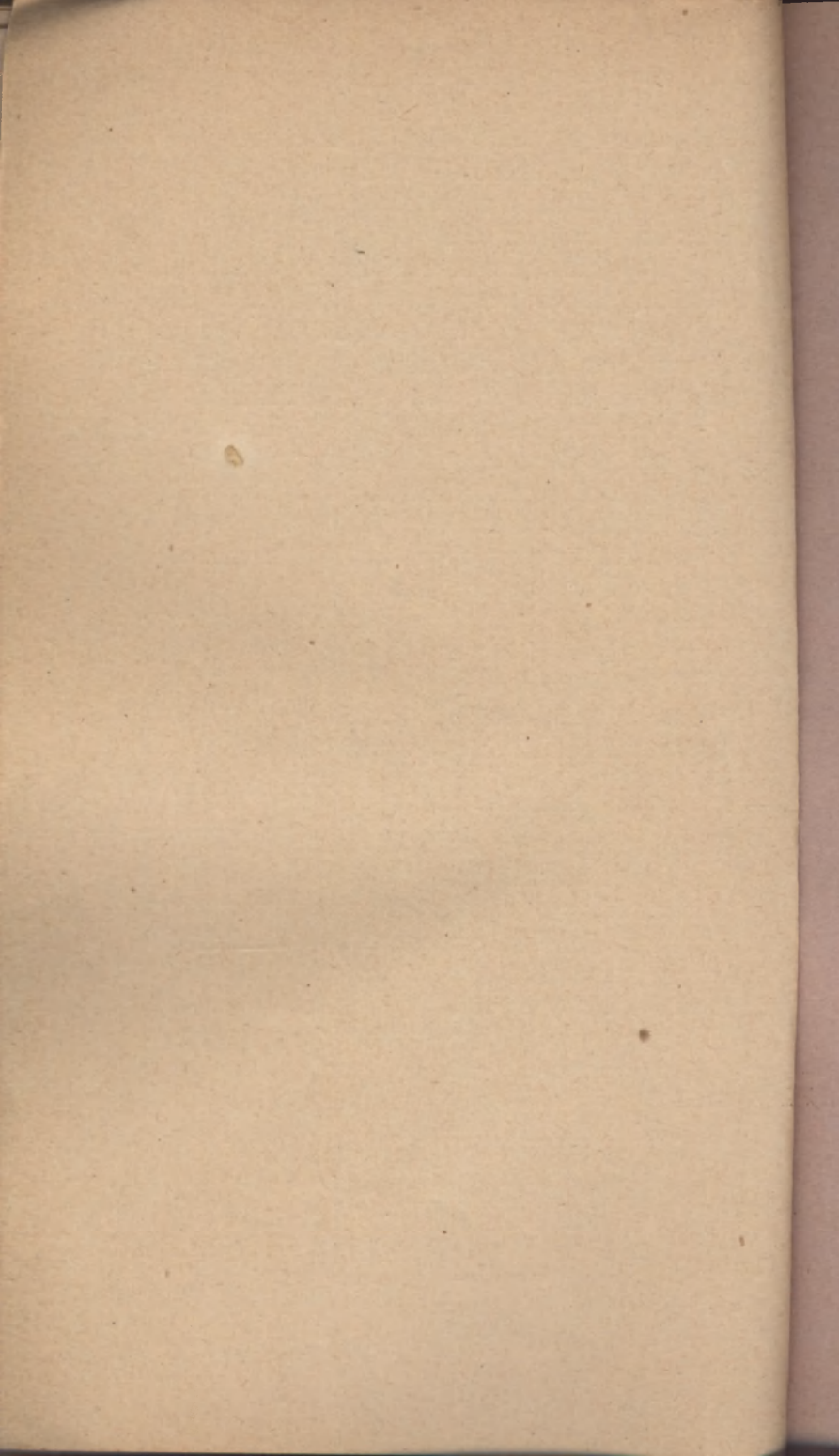
(Józek Motyka, obłany czerwonym światłem
 łuny, patrzy. Podpiera się w pasie. Lisi, zbójnicki
 uśmieszek zadowolenia siada mu na ustach. Lu-
 struje przecież siły swoje...)

Jan na widok tego wszystkiego zakrywa
 twarz dłońmi i płacze cicho.)

(Kurtyna.)

KONIEC.





DE2. 02

Książnica Cieszyńska

KD II 2136
